

TYGODNIK KATOLICKI

PISMO RELIGIJNE DLA ZIEM ZACHODNICH

Rok VI

Gorzów Wlkp., dnia 14—21 stycznia 1951 r.

Nr 2

Zmysł Opatrzności

„Choćbym chodził po drogach ciemności, mówi psalmista, nie będę się lękał złego, bo Ty jesteś ze mną“. Chcąc być świętymi i szczęśliwymi musimy nauczyć się na tyle kochać Boga aby utożsamić swoją wolę z Jego wolą. Potrzeba na to silnego zmysłu Opatrzności i głębokiej miłości.

Co oznacza zmysł Opatrzności? Nie oznacza fatalizmu, dyspensującego się z wszelkich wysiłków. Wysiłki nasze są bowiem objęte planem bożym; wydarzenia zależą naprawdę od naszej wolnej woli. Zmysł Opatrzności nie oznacza też czysto naturalnego spokoju, płynącego z usposobienia. Nie jest to także bierna rezygnacja w potocznym znaczeniu tego słowa. Chrystus jest naszym pasterzem. Troszczy się o nas nieustannie, On jest z nami. Ufamy, że plan Jego jest planem miłości: mądrość Jego, miłość i moc wyprowadzą dobro ze zła. Bóg powierza nam do wykonania część swego dzieła; powinniśmy ufać, że Jego mądrość i miłość przenikać będzie naszą pracę i skupiać się w tej naszej małej części. W ten sposób mamy uwolnić się przed zbytnią troskliwością, przed którą Chrystus ostrzegał. Nie mówił, że nie potrzeba pracować lub naprzód planować, nie mówił, że wszystko będzie dla nas zrobione, lecz, że nie należy nieustannie się dreczyć, tak, jak byśmy my, a nie On, za świat odpowiadali.

Wszystko jest w ręku Boga. Święci byli najradośniejsi w niepowodzeniu. Dlaczego? Bo żyli wiarą w plan i miłość planującą. W cierpieniu widzieli także część planu, a więc uważali cierpienie jako przywilej: jako część tego pełnego dzieła, którym jest zbawienie ludzkości.

Zapominamy tak często o ważności każdej chwili teraźniejszej, tak przemijającej, że wydaje się bez znaczenia, a jednak ona zawsze obecna w wieczności Boga, jako akt miłości i chwały, lub jako marnotrawstwo albo zdrada. Żyć w teraźniejszości. W tej chwili jest ta praca, ten ból, ta radość, którą Bóg daje: trzeba więc uczynić z niej możliwie najpełniejszy i najgłębszy akt chwały. Czasem z pracą bieżącą wiąże się wiele kłopotów; ale kłopoty to nie kłopotanie się. Nie można unikać problemów, lecz jeśli są one wolą bożą wobec nas, to należy przyjąć je jako takie i robić co w naszej mocy bez podniecenia; to właśnie przyjęcie ich jako woli bożej może być w tym wypadku pewnego rodzaju pokojem.

Jest to sprawa wychowania i zaczynania od rzeczy małych. Nasze wzburzenie jest nieraz wywołane drobiazgami. Któs spóźnił się na pociąg; uważając, że wolą bożą było zdążyć do załatwienia jakiejś sprawy, irytuje się, że pociąg uciekł. Tymczasem trzeba sobie powiedzieć: uważałem, że było to wolą bożą, abym zdążył, ale widocznie się myliłem. Więc zabieram się do robienia czegoś pożyteczniejszego, niż chodzenie po peronie jak lew w klatce, jęczenie nerwów i marnowanie czasu.

Bywa czasem, że Bóg wydaje się nam bardzo daleki; czujemy się całkiem osamotnieni. Wówczas to trzeba umieć oceniać wydarzenia w terminach Jego woli, miłować i przyjmować tę wolę. Ale tu właśnie potrzebne są owe małe początki: ów nawyk widzenia miłościwej ręki bożej we wszystkich drobnych nawet zdarzeniach życia i wychodzenia na ich spotkanie przy najmniej z determinacją, bo są one wolą bożą. Jest to droga przygotowania do brania wielkich wydarzeń w tym samym duchu i znajdowania ufności i pokoju wbrew wszystkiemu, co mogłoby wywołać zamieszanie. Biorąc dziecko po raz pierwszy do dentysty, matka stoi przy nim i trzymając jego rękę mówi: wszystko będzie w porządku, za chwilę będzie lepiej. Dziecko ufa jej i nie boi się. Bóg jest naszym pasterzem: kogo lękać się będziemy,

Ks. Dr Rzeszowski.



Trójca Przenajświętsza — Jeden Bóg

Jak ptak bez skrzydeł

Mówić dziś o modlitwie, to zadanie niełatwe. Dzisiejszy człowiek nie zawsze chce słyszeć słowa o modlitwie. Są i tacy, którzy wolą słuchać raczej o pieniądzach, o źródłach zarobku, dochodu itp. A jednak i dla tych ludzi modlitwa jest konieczną. Modlitwa to obowiązek, modlitwa to uszlachetnienie człowieka. Modlitwa to obłok jasny, z którego spływa ożywczy deszcz zmiłowania Bożego. Modlitwa, to płonący ogień ofiary; przed jego żarem i blaskiem pierzcha bestia szatańska. Jeśli wiara jest głębokim i bogatym źródłem, to modlitwa jest fontanną, która zeń tryska.

Pamiętajmy o tym, że jaka modlitwa nasza, takie i życie nasze, taka i nasza śmierć, a jaka śmierć, taki sąd i taka nasza wieczność. Jeśli się dobrze modlimy, dobrze być potrafimy, a gdy dobrze żyjemy, dobrze też umrzemy, i kiedyś nagrodę w niebie otrzymamy.

Zmarły Ojciec św. Pius XI, w słynnym swym orędziu, przesłanym na cały świat na falach radiowych w dniu 29 września 1938 r. a więc na rok przed wybuchem ostatniej wojny światowej, nawołując ludzkość do modłów o pokój powiedział: „Do tej potęgi modlitwy bezbronnej, a jednocześnie zawsze zwycięskiej, uda się raz jeszcze lud wierny”.

Modlitwa, płynąca z wiary, jest wyrazem serca, przejętego uczuciami religijnymi. Stąd św. Tomasz mówi (Summa II 2 q. 83 a. 3): „Do istoty religii należy oddawanie czci i hołdu Bogu i dlatego wszystko, przez co się cześć Bogu oddaje należy do religii. Przez modlitwę zaś człowiek składa Bogu hołd, bo Jemu się poddaje i modląc się, wyznaje Go sprawcą wszystkich dóbr swoich. Stąd widoczne, że modlitwa jest właściwie aktem religii.”

Ostro napadano na świątobliwego i słynnego uczonego Contardo Ferrini, profesora prawa rzymskiego w Pawii, że się za wiele modli. Odpowiedział na to: „Wszystkim, którzy mi zarzucają bojaźliwość i ograniczenie, odpowiadam, że zdobywam jedynie w modlitwie moc i powagę i jeśli posiadam nieco charakteru, zawdzięczam to modlitwie i jeśli nauka moja jest nieco warta, zawdzięczam to znowuż modlitwie i jej błogosławieństwu.”

Henryk Lervedan dawał takie zlecenia swemu synowi: „Cokolwiek się stanie, nie przestań nigdy modlić się i uczęszczać do kościoła, bo widzisz: modlitwa, zwłaszcza liturgiczna w kościele, jest konieczną nieodzowną. I choć byś tylko na chwilę modlitwy do kościoła wstąpił, to zawsze wyjdiesz z niego lepszym... Te mury, ta posadzka, to sklepienie, przesiąknięte tylu błaganiami, westchnieniami, aktami nadziei i błogosławieństw niepostrzeżenie przenikną do twego serca”. (Por. „Mon Fil-leul”).

„Człowiek bez modlitwy — mówi słynny konwertyta profesor uniwersytetu w Halli

Albert v. Ruville — to jak ptak bez skrzydeł, jak roślina bez kwiatu, jak płuca bez powietrza... I choćby kto poszedł na manowce, nawet wiarę utracił, to w chwilach ciężkich, przełomowych, przypomni sobie jeszcze modlitwę, do której ręce matka mu składała... Człowiek bez modlitwy to jak róża, której rosa nie zwilży, promień słońca nie ogrzeje.”

Lekarz francuski Charles Vidal tak mówi o wpływie modlitwy na zdrowie: „Kto ma wiarę, tym skłonny jest do modlitwy, która jest aktem ufności i miłości względem Boga. Kto ma wiarę i modli się, nie pada ofiarą sceptycyzmu, ani tym mniej zniechęcenia i rozpacz, zrodzonej z niewysłowionej nudy, pochodzącej z rozpusty i lenistwa. Modlitwa czyni go lepszym.”

Po modlitwie umysł się ożywia, siła uwagi się powiększa, a wola nabywa no-

wej energii. Władze uczuciowe stają się subtelne, a człowiek, który się pomodlił staje się podatniejszym do odczuwania piękna i harmonii rzeczy i pojęć. Po modlitwie człowiek doznaje bardzo wyraźnie uczucia błogości, tak, że znajduje się w najlepszych możliwych warunkach do wyzdrowienia, jeżeli już jest chory albo uniknięcia choroby, jeżeli się cieszy dobrym zdrowiem” (Por. Dr Charles Vidal „Religion et Medecine” p. 22).

Szukajmy więc ukojenia, pociechy i siły w modlitwie. Modlitwa jest konieczną dla zbawienia duszy naszej. Modlitwa jest dźwignią w naszych codziennych upadkach, jest ratunkiem w naszych potrzebach życiowych, jest ukojeniem w bólu i cierpieniu. Pamiętajmy więc na słowa Chrystusa Pana: „Módlcie się, a nigdy nie ustawajcie.”

Marian Jamrozik

Pokłosie Roku Świętego Dogmat o Wniebowzięciu

Jednym z najdonioślejszych wydarzeń Roku Świętego, które przejdzie na trwałe w dzieje, było niewątpliwie ogłoszenie dogmatu o Wniebowzięciu N. M. P. Spełniły się wierzenia wieków. Świat katolicki ogarnęła radość i wesele. Dnia 15. XII. ub. roku oficjalnie podano katolickiemu światu wiadomość, iż Ojciec św. w dniu 1. IX. ub. roku ogłosił dogmat Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Wiekopomna ta uroczystość miała być wspaniałym zakończeniem Międzynarodowego Kongresu Maryologicznego, który przez siedem dni przed uroczystością ogłoszenia dogmatu obradował w Rzymie. Zapowiedziane na dzień 1. IX. ogłoszenie „ex cathedra” dogmatu odbyło się w sposób

bardzo uroczysty. Z różnych stron świata przybyło na ten wielki dzień do Rzymu wiele tysięcy ludzi. Wzięło w niej udział 36 kardynałów i około 500 biskupów.

Padają wielkie i dziejowe słowa z ust nieomylnych Namiestnika Chrystusowego: „Jest prawdą objawioną przez Boga, że Matka Syna Bożego, Najświętsza Maryja Panna, po zakończeniu ziemskiego żywota została z ciałem i duszą wzięta do nieba”. Rozdzwoniły się dzwony świątyni rzymskich, rozdzwoniły się dzwony świątyni katolickiego Kościoła. Rozradowały się chwały Maryi serca Jej czcicieli.

„Radować się mamy wszyscy w Panu, obchodząc dzień uroczysty ku uczczeniu Błogosławionej Maryi Panny, z której Wniebowzięcia weselą się aniołowie i wychwalają Syna Bożego”.
(Z Introitu na święto Wniebowzięcia).

Złote myśli

„Nic nam bardziej nie leży na sercu niż to, aby wszystkie narody mogły żyć w prawdziwym i błogosławionym pokoju i aby Matka Boska, szczerza Dawczyni Miłosierdzia obdarzyła pokojem rodziny, narody, państwa i cały świat”.

w brewe apostolskim z 1910 r.
Ojciec święty Pius X

„Są tacy, którzy i sami trwają w pokoju, i z drugimi pokój zachowują

Są tacy, którzy sami pokoju nie mają i drugim go nie dają; są wielkim ciężarem dla innych, a większym jeszcze dla siebie. I są tacy, którzy i siebie w pokoju zachowują i innych do pokoju przywieść się starają.

Jednakże cały nasz pokój w tym niedzielnym życiu należy oprzeć raczej na pokornym uleganiu, niż na tym, aby nie odczuwać przeciwności.

Kto lepiej cierpieć umie, ten pokój będzie miał większy. Ten zwyciężył siebie i panem jest świata, przyjacielem Chrystusa i dzie dziecem niebieskim.”

Tomasz a Kempis.

Samotny krzyż



Wiecej radości

W ciemną noc do klasztoru franciszkańskiego zapukał mężczyzna w czarnej opończy. Na pytanie, czego chce, odpowiedział: „Sukam radości“.

Każdy człowiek szuka radości. Serce ludzkie pragnie szczęścia. Wiedział o tym Pan Jezus, dlatego też nie odrzucił zaproszenia na ucztę weselną. Przyszedł na nią, zabrał ze sobą i swoich apostołów. Była tam i Matka Najświętsza. Na tej uczcie weselnej uczynił Zbawiciel pierwszy swój cud, przemienił wodę w wino, a przez to objawił się swym uczniom jako Pan wszechwzeczy, w którego ręku jest wszechmoc.

W duszy Chrystusowej była zawsze radość, na jej dnie była ona zawsze, nawet w chwilach okrutnej męki, a wypływała z tego, że staje się zadość woli Ojca w niebieszech.

Wspaniały hymn Magnificat pozwala nawet spojrzeć w głąb duszy Matki Bożej i odkryć w niej radość jako nastrój zasadniczy, podstawowy. Matka Najświętsza już na weselu w Kanie galilejskiej wystąpiła w roli pośredniczki naszej ludzkiej radości.

Sw. Paweł często zachęca w swych listach, aby się radować, aby się zawsze weselić w Panu.

Święci Pańscy, najlepsi naśladowcy Boskiego Mistrza z Nazaretu, występowali ostro przeciw ponuremu usposobieniu, smutkowi, przygnębieniu i melancholii, widząc w nich wielkie zło i przeszkodę w drodze do Boga.

Sw. Teresa od Jezusa mawiała, że niczego się tak nie boi, jak tego, gdy widzi, że siostry tracą radość serca.

Przed św. Ignacym Loyolą oskarżono pewnego nowicjusza o brak powagi. Ten święty zakonodawca wezwał wobec oskarżycieli rzekomego winowajcę i tak powiedział: „Mój drogi. Widzę, że zawsze jesteś uśmiechnięty i cieszyć się z tego. Kto bowiem poświęcił się Bogu nie powinien się smuć ale radować.“

Biskup Keppler napisał piękną książkę pt. Wiecej radości.

Z tego wszystkiego widać, że wierny nauczyciel i przykładowi swego Założyciela Kościoła katolicki nie jest wrogiem radości. Przeciwnie, jest wrogiem przygnębienia i smutku, a zachęca do tego, aby służyć Panu z radością.

Różne jednak są radości; są przyjemności niskie pochodzące z zaspokojenia popędu samozachowawczego i rodajowego. Są przyjemności w dziedzinie ducha — przyjemności, jakie daje nauka i sztuka. Wolno korzystać z tych radości w granicach podanych przez wolę Bożą, zawartą w 10 przykazaniach. Prawdziwa jednak najwyższa radość płynie z głębokiego życia Bożego, życia wewnętrznego. Przeczuwał to Napoleon, gdy pod koniec swego bogatego życia zapytany, kiedy czuł się najszczęśliwszy, odpowiedział, że w dniu swej pierwszej Komunii św.

Wiek nasz jest spragniony radości, a tak mało jest tej radości i prawdziwego pokoju.

Stąd to wielka Polka, założycielka urszulanek Serca Jezusa Konającego, matka Urszula Ledóchowska, polecała swym zakonnicom, aby były słonecznymi duszami i promieniowały radością. W swym testamentie duchowym tak na ten temat pisała: „Dusza słoneczna jest sama przez się apostołką, bezwiednie apostołuje, prowadzi do Boga, bo mówi ludziom bez słów, że dobrze, bardzo dobrze Bogu służyć, że służyć Bogu — to znaleźć szczęście i pokój, jakich świat dać nie może.“

A zatem niech będzie więcej radości w naszym życiu i jak kończy swą piękną książkę biskup Keppler: „Szczęść Boże w walce o radość“.

Ks. Musiel Fr.

EWANGELIA NA DRUGĄ NIEDZIELĘ PO TRZECH KRÓLACH

Jan 2

W on czas były gody małżeńskie w Kanie Galilejskiej; a była tam matka Jezusowa: Wezwany też był na gody i Jezus i uczniowie Jego. A gdy zabrakło wina, rzekła matka Jezusowa do Niego: Wina nie mają. I rzekł jej Jezus: Co mnie i tobie, niewiasto? Jeszcze nie przyszła moja godzina. Rzekła matka jego sługom: Cokolwiek wam powie, uczynicie. A stało tam sześć stągwi kamiennych do oczyszczenia żydowskiego postanowionych, zawierających w sobie każda dwa albo trzy wiadra. Rzekł im Jezus: Napełnijcie stągwie wodą. I napełnili je aż do wierzchu. I rzekł im Jezus: Czerpajcie teraz, a zanleście gospodarzowi wesela. I zanleśli. A gdy skosztował gospodarz wesela wody, która się stała winem, a nie wiedział, skądby było, lecz słudzy wiedzieli, którzy wodę czerpali, zawał gospodarz wesela oblubienica i rzekł mu: Każdy człowiek najpierw stawia wino dobre: a gdy sobie podpija, wtedy podlejsze. A ty dobre wino zachowałeś aż do tego czasu? Ten pierwszy cud uczynił Jezus w Kanie Galilejskiej i objawił chwałę i uwierzyli weń uczniowie jego.

Modlitwa Papieża Klemensa XI

O mój Boże, wierzę, ale spraw, żebym mocniej wierzył. Ufam, lecz spraw, bym więcej ufał. Kocham, lecz spraw, bym bardziej kochał. Żałuję za swoje grzechy — powiększ mój żal.

Ciebie uwielbiam jako swego Stwórcę. Za Tobą tęsknię jako za ostatnim celem moim. Tobie dziękuję jako swemu dobroczyńcy. Ciebie wzywam jako swego potężnego Opiekuna.

O mój Boże, kieruj mną swoją mądrością, prowadź mnie Swoją sprawiedliwością, pociesz mnie Swoim miłosierdziem, ochroń mnie Swoją wszechmocą.

Tobie ofiaruję wszystkie myśli i pragnienia, wszystkie słowa i czyny, wszystkie trudy i cierpienia. Spraw, abym myślał o Tobie, tęsknił za Tobą, mówił i postępował, jak Ty chcesz, cierpiał za Ciebie.

Czego Ty chcesz, tego i ja chcę, ponieważ Ty tego chcesz, tak jak Ty tego chcesz, kiedy i gdzie tego chcesz.

Ciebie proszę: Oświeć mój rozum, oczyść moją duszę. Wzmocnij mię, abym pokutował za grzechy, przezwyciężył pokusy, pokroił zle skłonności i ćwiczył się w cnótach.

Spraw, abym pychę pokonał pokorą, poządlliwość umiarkowaniem, skąpstwo szczodrobliwością, gniew łagodnością, lenistwo prawdziwą gorliwością w dobrem.

Uczyn mnie ostrożnym w przedsięwzięciach, odważnym w niebezpieczeństwach, cierpliwym w przeciwnościach i skromnym w powodzeniu.

Pozwól mi poznać nieco świata i pełnię nieba, krótkość czasu i długość wieczności, złość grzechu i wielkość Twej miłości.

Spraw, abym gotów był na śmierć, obawiał się Twego sądu, uszedł piekła i dościsnął nieba przez zasługi naszego Pana Jezusa Chrystusa.

Amen.

Kolorowi księża katoliccy



Czarny prymicjant w otoczeniu
SS. Służebniczek w Rodezji — Lussaca.

— 11.000 kolorowych księży. Jak wynika z wiadomości, ogłoszonych podczas międzynarodowego kongresu misyjnego, jaki odbył się niedawno w Rzymie, liczba księży należących do ras kolorowych wynosi 11.000, zaś liczba misji 600. Spośród tych ostatnich 80 jest prowadzonych przez kler tubylczy.

PRZECZYTAJ I ZASTANÓW SIĘ...

„Nic nam bardziej nie leży na sercu niż to, aby wszystkie narody mogły żyć w prawdziwym i błogosławionym pokoju i aby Matka Boska, szczerza Dawczyni miłosierdzia, obdarzyła pokojem rodziny, narody, państwa i cały świat“.

Ojciec Święty Pius X w breve apostołskim z 1910 roku

Beatyfikacje i kanonizacje

Rok Święty przyniósł w swoim pokłosiu wielką ilość nowych świętych. Ogólna liczba dokonanych beatyfikacji i kanonizacji osiągnęła w Roku Świętym bardzo wysoką liczbę. Ogłoszono 22 nowych świętych i błogosławionych na 42 kanonizacje i beatyfikacje dokonane za obecnego pontyfikatu Papieża Piusa XII. Ten fakt mówi sam za siebie.

Pielgrzymi z całego świata ciągnący do Świętego Miasta mieli możność i szczęście brania udziału w podniosłych uroczystościach kanonizacyjnych. Radowały się rzesze pielgrzymów szczególnie gorąco, gdy nieomylnie orzeczenie Kościoła sławiło ich rodaka i stawiało go na ołtarzu.

Trudno wymienić w krótkim artykule, omawiającym całość Roku Świętego, wszystkie imiona nowych świętych. Wspominamy tylko niektóre.

Święta Maria Goretti. Jej kanonizacja odbyła się 24. VI. 1950. Maria Goretti to młodzieńka 12 letnie dziewczę, które poniosło śmierć w obronie swej niewinności. Kanonizacja tego dziewczęcia zebrała olbrzymie tłumy i wyjątkowo odbyła się na placu przed Bazyliką św. Piotra, gdyż kościół nie mógł pomieścić zbyt wielkiej ilości ludzi, jacy przyszli uczcić bohaterską dziewczętkę. Obecnych było ponad 300 tys. ludzi, wśród nich wielkie rzesze pielgrzymów z różnych krajów. Na uroczystościach był obecny prezydent Włoch, a przede wszystkim matka św. Marii Goretti, która z ogromnym wzruszeniem przeżywała przebieg uroczystości kanonizacyjnych. Tego rodzaju wydarzenia są unikatami w dziejach Kościoła.

Dnia 7. maja u. r. Ojciec św. kanonizował wśród olbrzymich tłumów wiernych błogosławionego **Antoniego Marie Claret (1807—1870)**, arcybiskupa Santiago na Kubie, założyciela Kongregacji Misjonarzy Synów Niepokalanego Serca Maryji (Klaretyni), wielkiego apostoła na polu misji wewnętrznych i prasy katolickiej. Urodził się w Salent k. Barcelony z rodziny tkaczy, sam za młodu pracował w rzemiośle tkackim, a w wolnych chwilach uczył się. W roku 1835 został kapłanem, a w roku 1850 arcybiskupem. Przez całe życie bardzo owocnie pracował, wygłaszając 25 tys. kazań i pisząc 114 książek, które wydano w 11 mil. nakładzie. Założone przez zeń Zgromadzenie dziś liczy 220 domów zakonnych z 2540 profesjami, w 6 krajach europejskich i 14 amerykańskich, ponadto w Afryce, na Filipinach i Chinach.

Szpecially piękna postać beatyfikowaną w Roku Św. jest postać **Dominika Savio**, piętnastoletniego chłopaka. Nowy błogosławiony pochodzi z rodziny mieszczańskiej, urodził się 2. IV 1847 r. w Riva di Chieri we Włoszech. W roku 1854 św. Jan Bosko przyjął go do swego zakładu w Turynie, ale po kilku latach Dominik musiał wrócić do domu z powodu choroby. Umarł w domu rodzinnym 9. III. 1857 r. Na uroczystość beatyfikacyjną zjechali się wychowankowie zakładów Salezjańskich z całego świata.

Krótki rys życia Dominika Savio nie powie jeszcze wiele czytelnikowi niniejszego artykułu. Warto zapoznać się bliżej i bardziej blisko z postacią Dominika Savio, najmłodszego ze świętych młodzieniaszków. Postać ta urzekająca i przepiękna. Jest w tym chłopczku coś, co pociąga. Warto dać młodzieży do ręki życiorys Dominika.

W dniu 15. X. 1950 r. dokonał Ojciec św. beatyfikacji błogosławionej **Anny Marii Javeuhet** rodem z Francji, zmarła w Paryżu 1851 r. Z końcem XVIII wieku rozpoczęła ona dobroczynną akcję, którą rozszerzyła z czasem na kraje Ameryki Środkowej i Południowej. W tych krajach z heroizmem zasługującym na podziw, opiekowała się ludnością tubylczą, pozbawioną wszelkich praw obywatelskich i dobrodziejstw kultury. Życie jej upływało na ciągłych podróżach po krajach Ameryki i odwieczaniu instytucji, które powołała do życia. Założyła zgromadzenie zakonne sióstr św. Józefa.

W uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego 18. V. 1950 r. zostały wzniesione do godności świętych dwie założycielki Instytutu Sióstr Miłości od Dzieciątka Maryi: **błog. Bartłomieja Copitannio (1807—1833)** i **błog. Wincenta Gerosa (1784—1847)** Święta Bartłomieja, urodzona w Lovere we Włoszech, nauczycielka, po śmierci ojca, którego swą anielską dobrocią nawróciła, założyła w swej miejscowości rodzinnej wraz ze starszą od siebie, a obdarzoną niezwykłym zmysłem organizacyjnym, św. Wincentą — Zgromadzenie Zakonne, celem wychowania biednych dziewcząt i opieki nad chorymi, starcami i sierotami. Choć w krótko umarła na suchoty, dzieło rozwinęło się wspaniale, tak że dziś liczy 566 domów we Włoszech i 70 za granicą z 8665 zakonnicami. Na uroczystości kanonizacyjne przybyło tysiące pielgrzymów, szczególnie z północnych Włoszech gdzie święte pracowały.

Dnia 9. VII. 1950 roku odbyła się kanonizacja błogosławionej **Marianny Paredesy Flores**, dziewczicy, zwanej „Lilia Quito”. Żyła w samotności w domu swego szwagra w Quito (Ekwador), oddana surowej asce-

zie i nadludzkim wprost umartwieniom. Należała do trzeciego zakonu św. Franciszka. Podczas głodu ofiarowała swe życie Bogu za lud i w krótko po tym umarła 26. V. 1645 r. w 27 roku życia przedziwnie niewinnego.

W Zielone Święta została kanonizowana **Joanna Francuska**, królowa i założycielka zakonu od Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Joanna urodziła się 23. IV. 1464 r. w miasteczku Pleiss des Tours jako córka króla francuskiego, Ludwika XI i królowej Karoliny. Poślubił ją **Ludwik Orleański**, który później był królem Francji, pod imieniem Ludwika XII. Całe życie świętej królowej jaśniało czynami świętymi. Zajaśniała jeszcze szczególniejszym blaskiem, gdy usunęła się od życia dworskiego i osiadła w Bourges i tam założyła zakon od Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Zmarła w roku 1505, licząc lat 41. Na te uroczystości kanonizacyjne przybyło z Francji 32 pociągi z pielgrzymami.

Nie można pominąć jeszcze beatyfikacji głośnego w świecie ze swych dzieł księdza **Wincentego Pallotiego**, założyciela Stowarzyszenia Apostolstwa Katolickiego (Księża Pallotyńców) dobrze znanego i zasłużonego w Polsce.

Na zakończenie wspomniemy jeszcze **Włocławka de Mattia**, beatyfikowaną 1. X. 1950. Była to założycielka zgromadzenia zakonnego Sióstr od Adoracji Przenajświętszej Krwi Pana Jezusa. Urodziła się w 1805 r. zgromadzenie swoje założyła w 1834 r. we Włoszech, celem wychowania młodzieży żeńskiej i opieki nad biednymi.

Uroczystość zgromadziła 20 biskupów z różnych krajów i około 5 tys. ludzi, w tym 1500 sióstr ze zgromadzenia założonego przez błogosławioną Marię de Mattia.

M. Grzybowski.

Kazimierz Gołba.

WIELKI EREMITA

— Błagam was, młody panie! Wracajmy ku Nilowi! Wielbłądy nam popadają, a my sami zginiemy z pragnienia!

Antoni nie słuchał. Popędził jeszcze swego wielbłąda. Tęgą meską otrzymał niedawno, nie musiał już słuchać ślepo swego greckiego pedagoga. Mimo lejącego się z nieba skwaru pragnął dotrzeć do skał, które na zadzie wynurzały się z wydm szarawego piasku.

— Nigdy tam jeszcze nie byłem! — zawołał w odpowiedzi. — A wszak te wawozy leżą w latyfundiach, jakie Cezar Decius ojcu memu nadał. Napewno tam znajdzie się źródło, gdzie można ugasić pragnienie.

— Jesteś dwa dni drogi od Komy! — próbował jeszcze Grek przemówić do rozsądku młodzieńca. — Starszy pan gniewał się będzie.

Ale młody patrycjusz wysforował się naprzód. Zrezygnowany Grek stał pot z czoła brodą i skinał na jadących w tyle dwóch niewolników koptyjskich, by podążali za upartym paniczem.

Zagłębili się w łżyisko wyschłej rzeki, za którą wjechali na grunt bardziej kamienisty, pełen osypisk. Spotykali raz po raz suche, twarde kępy krzaków róży jerychońskiej, ślady życia, wypalone przez słońce.

Gdy zbliżyli się do wejścia do wawozu na odległość kilku strzałów z łuku, nagle Antoni zakrzyknął:

— Na Zeusa Ammonia! Mistrzu, tam są jacyś ludzie!

— Zdaje się wam, młody panie! — odjął stary Grek, któremu z upału krwawe plamy migły w oczach.

Antoni nie mylił się jednak. Wśród skał istotnie snuły się ludzkie postacie, tak samo szare jak skały, cieniom raczej podobne. Gdy zaciekawiony pchnął ku nim wielbłąda, został dostrzeżony. Jedną z postaci wyraźnie przyzywał go ręką.

Antoni zsunął się z garbu pustyńskiego wierzchowca i zostawiwszy zwierzę towarzyszącemu, podbiegł ku przyzywającym. Byli to mieszkający małych jaskiń, jakie widocznie sami sobie wykuli. Na widok młodego przybysza, który był dla nich zjawiskiem niezwykłym, wyroili się ich kilkunastu. Byli to sami mężczyźni, przeważnie starcy o długich, białych brodach, najmłodsi z nich przekroczyli lat 50. Wychudli ich ciała, raczej szkielety powleczone spaloną od słońca skórą, przepasane były sierścią wielbłądzą na biodrach. Musieli tu być bardzo długo, bez żadnej styczności ze światem.

— Kto jesteście? — zapytał ich Antoni.

— Chrześcijanie — odparł jeden ze starców — których ocalił Pan z rąk siepaczy Cezara Deciusa.

— Cezar Decius już dawno nie żyje. Możecie wracać do swoich stron.

— Nasze strony są tu, na pustyni! — ożwał się drugi starzec. — Tuśmy opanowali ciała nasze, a dusze wyzwolili z łańcuchów.

— Jakóż możecie tu żyć, dobra nifakiego nie mając?

— Alboż nie uczył nas Pan: „Chcesz-li być doskonałym, idź i sprzedaj, co masz, rozdaj ubogim i pójdz, naśladować mnie, a skarb otrzymasz w niebie?”

— Zali nie widzisz — dodał drugi starzec — żeśmy się do Pana zbliżyli i szczęście samo w nas mieszka?

Zdumiony taką mową Antoni przyjrzał im się bacznie. Teraz dopiero zauważył, że twarze tych nędzarzy były promienne i szczęśliwe. Tak jasnych i pogodnych spojrzeń nie widywał nigdy w domu ojca w Kome, ani wśród możnych, w zbytek opływających bogactw. Stał wobec zagadki niepojętej dla świata, który go wychował.

— Rzuć, bracie, wszystko, co masz, i zostań z nami! — mówili do niego eremici. — Otworzymy ci oczy na sprawy, jakich tam, wśród ludzi, nie poznasz!

Antoni usiadł wśród nich na kamieniu i zadumał się głęboko.

Nie został zaraz, lecz później wyprawał się często do tych dziwnych mieszkańców pustyni, od których słyszał jeszcze dziwniejszą naukę, mądrości bożej pełną. Pod jej wpływem rozgorzało w nim światło wiary, a zbladł mu w oczach blask ziemskich dostatków.

Gdy wkrótce odziedziczył cały ojcowski majątek, wiedział już, że nie znajdzie w nim szczęścia. Sprzedał olbrzymie latyfundia, zabezpieczył byt młodszego siostrzeńca, resztę rozdał ubogim, a zrzucając szaty patrycjusza, przywdział opończę niewolnika i powędrował w niej do osiedla eremitów, by wspólnie z nimi zamieszkać.

Nie tak łatwo przyszło mu zwalczyć młode ciało, jego żądze i zachcenia. Posiadał całą wiedzę i wieloletni dorobek duchowy starców, ale wkrótce poznał, że mu ich zbiorowa asceza do ujarznienia ciała i kształtowania duszy nie wystarczy. Pożegnał więc swych duchownych przewodników i powędrował w głąb pustyni, gdzie wydany zupełnie na pastwę sił przyrody, mógł w walce samotnej wykuwać swój przyszły charakter.

Nadeszły długie dni, miesiące, lata. W małej oazie, do której stopa ludzka przed nim nie dotarła, przy źródle bijącym ze skały, zagrzebał się syn patrycjuszów. Pracą rąk własnych zbudował sobie schronienie i wydzierał pustyni grunt uprawny, który go żywił. Co dzień zmagał się do upadłego z nadmiarem młodych sił, które rozparły mu ciało. Nocami nawiedzały go zwały, gorączka i głód przywołane. Rozpętał się szatański bój o jego duszę. Opał go jakby sfory dzikich zwierząt ze szczekaniem, skomieniem i wyciem. A gdy je odganiał, mającemu mu się jado wyszukać, do uczt zastawione, którego bardzo pożałował. Korzonkami i ziarnem głód sycił, lecz do ludzi i przepychu bogactw nie wracał. Najcięższą walkę stoczył z żarem krwi młodej, który mu nieustannie nasuwał wyobrażenia nieczyste. Biczem z palmy upieczonym smagał co dzień grzbiet swój do krwi... Aż przewyciężył ciało!

Po 20 latach odszukali Antoniego pozostali przy życiu towarzysze-eremici. Poznać nie mogli w siwłosym pustelniku dawnego młodzieńca. 40 lat liczył teraz, a wyglądał na starca. Trudy walki z przyrodą i z wła-

snymi żądzami poorały mu twarz, ubieliły włosy. Był więcej duchem niż ciałem. Ale gdy mówić zaczął, usiedli zdumieni w krąg niego i słuchali. — Nigdy jeszcze z ust ludzkich nie słyszeł tak głębokiej mądrości, jaką w sobie ten samotnik zgodnie z duchem ksiąg świętych wypracował.

— Widzimy, bracie — rzekł mu — iż stał się obłutem bożym. Ciebie to wybrał Pan na nauczyciela naszej wspólnoty, abyś tradycję eremu dalszym pokoleniom przekazał.

I zabrali go do swych skał w pustyni, by młodych ludzi, szukających Boga, nauczał. Przybywało ich coraz więcej, zwłaszcza że w tym czasie Cezar Dioklecjan podjął spójną, ostatnią próbę zniszczenia chrześcijaństwa. Ale eremita Antoni nie ułaskiwił cesarskich dekretołów. Jak ongi Piotr Apostoł do Neronowego Rzymu, tak teraz on, syn patrycjusza z Komy, z uczniami swymi przybył do Aleksandrii, by dźwigać na duchu ścigane owce Chrystusowe. Nie wahał się stanąć na placu i publicznie oskarżać Cezara.

Przeżynał wnet Dioklecjan jak każda wielkość na świecie, a chrześcijaństwo rosło, krwią męczenników wzmocnione.

Antoni nie wrócił już do swego eremu. Przyszedł do karawany, która ku brzegom Morza Czerwonego dążyła. W torbie pielgrzymiej niósł zwoje świętych ksiąg, trochę ziarna do siewu i motykę. Na nową siedzibę upatrzył sobie samotną górę Kolcym, w której wykopał zaraz jamę mieszkalną.

Ala teraz — po wystąpieniach w Aleksandrii — był już zbyt znany, by skryć się przed własną popularnością. Po całym Egipcie rozszalała się wieść o jego pustelni kolcymskiej. Odszukali znów swego mistrza eremici spod Komy. Przybyli doń i przy nim zostali. Wkrótce góra Kolcym podziurawiona została jaskiniami, a wokół niej zieleniły się uprawiane przez mnichów pola.

Osada kolcymka powiększała się stale,

uczniowie mnożyli się, a autorytet moralny mistrza Antoniego rósł na całym wschodzie cesarstwa.

Górę kolcymką odwiedzali nie tylko pątnicy pobożni i kupcy z przejeżdżających karawan, lecz także urzędnicy cesarscy, wojakowi i ludzie wszelkiego stanu. Nie wiedli ich cześć ciekawość, lecz próby o modlitwę o wstawiennictwo i radę. Nawet cesarz Konstantyn przysłał do Antoniego gońców z listami, na które eremita odpowiadał.

Antoni miał już lat sto, gdy wybuchła sprawa Ariusza. Zwolennicy herezjarchy zabiegali usilnie, by dla jego nauki, bóstwu Chrystusowemu przeczące, pozyskać sędziwego mistrza eremitów.

Ala duch zwycięski, który mimo bezwzględnej ascezy utrzymywał przy życiu wyschłe starcze ciało, nie zawiodł i teraz. Wspierając się na kosturze, wędrował Antoni od eremu do eremu, które w prowincji egipskiej założyli jego uczniowie, by w każdym osiedlu sług bożych błędy Ariusza zwalczać i wiarę nieskażoną utrzymać. Wyśiłek ten ukoronował dzieło jego żywota, lecz jednocześnie wyczerpał do reszty jego możliwości fizyczne.

Czuając zbliżający się koniec, przywlokł się na górę Kolcym. Uczniowie otoczyli 105-letniego mistrza, by nie uciekły słowa z ostatnich jego nauk. Antoni toczył gasnącym wzrokiem po rozległej równinie między Rylem a Czerwonym Morzem, gdzie z pustynnych piasków wynurzały się wyspy bujnej zieleni z pióropuszcami palm.

— Pomnijcie — mówił — że czym wilgoć dla roślin, tym dla duszy jest łaska boża. Bez niej nie mógłby odnieść człowiek największego zwycięstwa — nad swoim ciałem.

Po tych słowach usta jego zamknęły się na zawsze. Dusza jego polączyła się z Bogiem. Uczniowie pogrzebali jego ziemskie członki w tej samej jamie, w której znajdował schronienie przez blisko pół wieku. Był to rok Pański 356.

Kazimierz Gałba.

O pewnej królowej

Choć królowa o której będzie mowa nie nosi korony, ani nie posiada berła, czy innych oznak władzy, to jednak jest królową a chodzi tu o... organy, bo, słusznie fachowcy nazywają je „królową instrumentów”. Dlaczego? Dlatego, że swoją potęgą brzmienia, możliwościami wyrazu przewyższa nie tylko wszelkie pojedyncze instrumenty, czy ich grupy, ale w pewnym sensie nawet orkiestrę symfoniczną, a więc ogromny niejako zbiorowy instrument zatrudniający nie tylko wiele instrumentów ale wielu ludzi, gdyż skromna orkiestra symfoniczna liczy około 60 osób. Żadna orkiestra nie może się równać z organami tak pod względem skali, bo „nie chwytą” najniższych i najwyższych tonów możliwych do wydobycia na organach, jak pod względem możliwości barw — gdyż organy mogą naśladować prawie wszystkie głosy natury, zwierząt, ptaków, ludzi i instrumentów, mogą naśladować śpiew słowika, beczenie kozy, dzwony i kukanie kukułki, a przy tym do wydobycia tego wystarczy instrument (oczywiście mam na myśli wielkie organy koncertowe) i jeden człowiek, który umie z tego instrumentu wydobyć te wszystkie możliwości. Po tym wstępie należałoby podać kilka zasadniczych szczegółów o organach i różne ciekawostki.

Do organów można zastosować znane przysłowie: „nikt nie jest prorokiem w ojczyźnie swojej”, gdyż tam gdzie powstały t. j. na Wschodzie nie przyjęły się, a natomiast rozwinęły się na Zachodzie. W ciągu 12 wieków swojej historii przeszedł ogromną rewolucję. Historia ich zaczyna się właściwie od czasu, gdy w VIII

wieku dostały się na Zachód jako podarek od cesarza bizantyjskiego Konstantego Kopronima dla króla Franków Pepina. Odtąd zaczyna się poprostu olbrzymi ich rozwój. Początkowo były one tak nieruchawe, że grano na nich łokciami, albo pięciami — oczywiście klawisze ówczesnych organów miały wymiary odpowiednie do takiej techniki gry. Na takich organach można było grać tylko jednogłosowo. Szerokość klawiszy sięgała 10 cm!!! W X wieku w Winchester w Anglii były organy o 400 piszczałkach 26 miechach, do obsługi których trzeba było 70 mocnych mężczyzn. Początkowo organy były małe i przenośne. Zważano je „portatywem” a później stałe, zwano je „pozytywem”. W XV wieku wynaleziono klawiaturę nożną, czyli t. zw. „pedał”. W XVI wieku zaczęto konstruować piszczałki o różnej barwie dźwięku, stąd powstały różne rejestry. W XVIII wieku wprowadzono i tu podobnie jak w fortepianie strój wyrównany zwany „temperowanym”. W XVIII i XIX wieku rozwój organów poszedł tak daleko, że wyrosły na „królowe instrumentów”, z którą żaden inny instrument porównać się nie może. Zasadnicze części organów są następujące: 1) obudowa zwana w języku fachowców „szalą”, 2) miech dostarczający powietrza, 3) kanały doprowadzające powietrze, 4) mechanika klawisza, (połączenie między klawiszami a piszczałkami) i 5) piszczałki. Jeśli połączenie między klawiszami i piszczałkami

(Dokończenie na str. 16)

K R O M K A C H L E B A

Mimo wczesnej stosunkowo godziny, wesoła kolacja wigilijna była w pełni. Jeden z oficerów porządnie upity wpadł na pomysł strzelania do lampy, dwóch spowiadało się wzajemnie, jeden tańczył, inni trzymając się ledwo na nogach śpiewali: „Horst Wessel”. Nagle jeden z nich mniej pijany pochylał się do ucha siedzącego obok kapitana SS.

„Byłbym zapomnieli Eriku, że mam list do ciebie. Przyszedł parę dni temu i nosiłem go w kieszeni. Tak rzadko kto pisze do ciebie, że całkiem o nim zapomniałem” — usprawiedliwiał się, podając kopertę.

Erik skrzywił niechętnie usta. Moje panie przypominały sobie, że żyje — myślał oglądając stemple i znaczki. — Napewno znów ży, morały i błagania w każdym słowie. — Mimo to wstał i poszedł do bocznego stolika, żeby przeczytać list. W liście nie było żadnych morałów, ani też, zato nowy adres, bo przy bombardowaniu dom uległ zniszczeniu; bardzo chłodne życzenia „Wesołych Świąt”, kilka zdawkowych pytań o zdrowie i placówkę stanisławowską i na tym koniec. Młody człowiek wpatrywał się w kartę papieru, szukając jeszcze czegoś, czego nie było. Coś pękło między nim, a matką i babką, coś się skończyło na zawsze. Nawet „zostań z Bogiem” nie było w liście. — Niczego już od niego nie chciano, został wypchnięty z serc, jakby umarły. — Spojrzał po sali i nagle ogarnęła go wściekłość. Jak śmiali się bawić, gdy nim targa ból, gdy on jest sam na świecie! Wstał i podszedł do naczelnika, w paru słowach usprawiedliwił się, że opuszcza zebranie i wyszedł.

Mimo woli spojrział na gmach więzienia; wiedział, że ludzie litowali się nad więźniami i w tej chwili Erik poznał, że zazdrości im. —

Widział przecież w kościele kobiety, błagające o cud wyzwolenia dla najbliższych, odbierały paczki, czytały listy, w których każde słowo, choćby obojętne na pozór, — było krzykiem miłości i przywiązania.

Jego już nikt nie kochał!

Wiedział, że matka prosi Boga dla niego o śmierć...

Dopiero teraz po odebraniu listu zdał sobie z tego sprawę. — Dlaczego? Nie mógł, a raczej nie chciał rozwiązywać zagadki. Czuli się prawie chorzy. — Doszedł do mieszkania z postanowieniem wyładowania bólu na kimkolwiek... Jeszcze w przedpokoju wymyślał służącą, że klamki nie oczyszczone, potem — uderzył ją w twarz. Dziewczyna spojrzała na niego z nienawiścią i uciekała płacząc. W pierwszym pokoju zastał podoficera milicji, który wyprężył się na jego widok.

— Czego? — spytał Erik siadając przy stole. — Ile razy mam mówić, żeby w święta nie przychodził! Ale do was to szkoda mówić, bo i tak przyjdziecie — dokończył zrezygnowany.

„Panie kapitanie — zaczął Ukrainiec niepewnym głosem — od strony ogrodów jest dziura w parkanie więziennym”.

W pierwszej chwili Erik chciał coś odpowiedzieć, lecz zrezygnował.

A! Niech mówi... co chce — niech tylko nie odchodzi, nie zostawia go samego z tym przeklętym listem! Boże! Taki list w Święta! — myślał ukrywając twarz w dłoniach.

Święta! — pamiętał że dobrze z lat dziecińczych: choinka, gwiazdka i oczekawanie na Willę. Babka sadzała dzieci przy oknie

— kazała im patrzeć w niebo. Kto zobaczy gwiazdę, w tego duszy narodzi się Chrystus — uczyła. Chłopcy nie wytrzymywali długo przy oknie, biegli do kuchni, by wyjadać matce rodzyinki i migdały.

„A heretyki! — krzyżała babka — protestanci! Post łamiecie! Książd wam nie da rozgrzeszenia na spowiedzi!” —

Jak przez mgłę słyszał słowa milicjanta: ktoś podaje chleb więźniom, pracującym przy odmiataniu śniegu — skarżył milicjant. „Co mam robić, przecież tego nie można tolerować!”

Niemiec siedział nieruchomo, zdawał się nie słyszeć słowa podoficera, przyzywał swoje dzieciństwo po raz drugi.

Boże! jak to dawno! — myślał, wpatrując się w obraz minionych lat... — a może tego nigdy nie było, może śniło mu się to kiedyś, może zawsze był eleganckim oficerem SS, przed którym drżeli wszyscy i służba i milicjanci i więźniowie, może zawsze jedynym argumentem była pięść...

Mówiono w Hitlerjugend, że jedynie siła ma wartość, że strachem wszystko można zrobić, a sentyment, to niedoństwo! Co z tego, że ludzie bali się Erika jak ognia! prośba ni groźba, ba nawet obozem nie wymusi od matki innego listu

„I co mam zrobić?” — usłyszał głos Ukrainca.

Zerwał się.

„Rany Boskie! Daj mi spokój! — krzyknął — co ja ci poradzę, że jakaś wariatka dokarmi więźniów, to do mnie nie należy, tylko do ciebie. Wynos się i strzelaj do każdego, kto podejdziesz do dziury.

Podszedł do okna i mimo woli szukał na niebie owej świętej gwiazdy, lecz ciężkie chmury zakryły ją przed jego oczyma.

Burza śnieżna szalała, wiatr dął, a Erikowi zdawało się, że noc nigdy się nie skończy.

„Panie kapitanie” — usłyszał znów za sobą. Odwrócił się od okna ze ściągniętymi brwiami.

„Mówiłem ci, odejść! Zresztą Bóg z tobą, czego chcesz?”

„Ona o tej porze przychodzi!”

Więc mam iść z tobą? Boisz się jednej wariatki? Dobrze — zgodził się po wahaniu — zastrzelę babę, a tobie pokażę, jak macie postępować w takim wypadku.

Poprawił pas, sprawdził magazynek w rewolwerze i wyszli. Lodowaty wiatr siekł im twarz, a śnieg boleśnie kłuł w oczy. Kaprał wyraźnie unikał ludzi, skręcił od razu na podwórko biura transportowego i prześlizgiwał się między starymi autami. Potem wszedł w jakiś ogród. Erik spojrzął na zegarek: dochodziła 8.30. Normalnie kończyła się syzyfowa praca więźniów, polegająca na odmiataniu śniegu z pola za więzieniem. Lecz naczelnik przedłużył dziś pracę. Wiatr rozerwał chmury i księżyc zalał swym blaskiem miasto. Dwaj milicjanci przestępując z nogi na nogę, pilnowali robot, małe rączki dzieci mdlały od dźwigania ciężkich łopat, starsi więźniowie dygotali z zimna, nie myśleli nawet o wyrzuceniu dzieci, sami ledwie trzymali się na nogach. Erik stanął i czekał. Nagle jeden z więźniów podszedł do plotu, jakby chcąc dać znać, że „jest”. Po chwili ukazała się kobieta okryta chustką. Wyglądała na służącą, była niska, chuda, o pospolitych rysach. Lecz w świetle księżyca powstała jej wyszlachetniała. Wyjęła z fartucha kromkę przydługiego chleba. „Dwutygodniową porcję daje” — pomyślał oficer, wyjmując rewolwer. Kobieta zaczęła swą codzienną pracę: pierwszą kromkę dostał Icek syn śledziarki, porwał chleb, oczy błyszczały mu, jak u głodnego zwierzęcia, jadł dławiąc się, poprostu jakby w nadziei, że dostanie jeszcze. Drugą podała młodzieńkiemu Ru-

munowi. Chłopak schylił się i złożył na polamanej reumatyzmem ręce pocałunek wdzięczności. Dwie kromki dała Kozłowskiej: ta musiała przetrzymać więzienie dla dzieci. „Bóg zapłać” — usłyszał Erik. Resztę rozdała między dzieci. Nawet te z pod Kijowa, które bały się nawet współwięźniów podbiegły do niej bez obawy. Erik zrozumiał, że ją kochają wszyscy, nawet ci, którzy nie dziękują i nagle poczuł się jeszcze bardziej samotny. Jej ręce odepchnęłyby go napewno, jak odepchnęła go matka i wszyscy. Może zasłużył na to. Pierwszy raz w życiu zdał sobie z tego sprawę. „Dlaczego pan nie strzela?” — usłyszał głos kaprała.

— „Ja ci dam strzelać!” — usłyszał w odpowiedzi — tam też jest Ukrainiec, który dostał od niej chleb, zapamiętaj to sobie!

Kobieta cofnęła się do dziury. Młodego Niemca chwycił żal za serce, że odeszła i że może nie odepchnęłaby go, gdyby do niej podszedł. Litowała się nad tamtymi, może by i dla niego miała litość! Wsunął rękę w dziurę, kobieta była przekonana, że to jeszcze jeden z jej ulubieńców, poszukała w kieszeni i wsunęła ostatnią kromkę w rękę oficera SS. Erik patrzył na czarną kromkę gliniastą, kromkę miłości. Przyszedł po to by zabić tę ofiarną miłość, jak zabijał ją codziennie w swym sercu, a jednak żyła ciągle, przyszła, gdy tylko wyciągnął do niej rękę, gdy zawołał głosem duszy: list matki był sprawiedliwością, lecz ponad nią była kromka czarnego chleba. Odruchowo spojrział w niebo i zobaczył jasną gwiazdę i jak przed wiekami w duszach ludzkich narodził się ten, który łamał chleb i dawał go głodnym, który sam stał się chlebem i dawał swoje ciało nie tylko Apostołom, lecz i tym, wypchniętym poza nawias społeczeństwa, zgietym pod ciężarem własnych win i smutków.

Hertz Janina, Kraków.

Z życia katolickiego w Wielkopolsce

— Najstarszy kościół parafialny św. Marcina w Poznaniu fund. 1236 r., a zniszczony w czasie działań wojennych w roku 1945 coraz bardziej dźwiga się w ruin...

Przechodnia ulica świętojańska uderza prześliczny widok: Obok ruin w świetle jarzących się świec i żywych kwiatów Matka Boska z Lourds przyjmuje prośby i darzy — radosną — obfitością łask swoje dzieci...

Donośnie daleko płynie piękna melodia pieśni Maryjnej: „Królowej anielskiej śpiewajmy, różami uwieczmy Jej skroni; Jej serca w ofierze składajmy, ze łzami wołajmy doń: O Maryjo bądź nam pozdrowiona, bądź Ty zawsze Matką nam...”

Mimowoli przechodzień przystaje — patrzy — słucha — razem się modli i wspólnie śpiewa...

W niedzielę 8-go października ub. roku przybył tutaj J. E. Ks. Arcybiskup Metropolita poznański W. Dymek. Po nabożeństwie różańcowym odbyła się przy grocie Matki Bożej uroczystość wmurowania aktu odbudowy kościoła św. Marcina. Dokument ten został przy grocie odczytany i następnie przez Ks. Arcybiskupa wmurowany w kościele.

Po tej uroczystości Ks. Arcybiskup w podniosłych słowach przemówił do wiernych i udzielił wszystkim swego błogosławieństwa.

Parafia św. Marcina w Poznaniu korzysta obecnie z kościoła poprotestanckiego przy ul. Fredry i liczy ponad 23 tys. dusz. (jj)

Gdańsk wczorajszy w perspektywie dzisiejszej

Jest rzeczą niezmiennie charakterystyczną w dziejach Gdańska, chciało by się rzec: znamienne, czy nawet symboliczną, że był on zawsze wierny Polsce w jej sporach i zatargach z Zakonem Krzyżackim a potem z Prusakami.

Przypomnijmy tylko takie fakty jak uporczywa walka Gdańszczan przewodzących sławnemu Związkowi Jaszczurczemu (zjednoczenie miast pruskich przeciw najeźdźczym rządowi krzyżackim w Prusach) o wyzwolenie tych ziem nadmorskich spod jarzma Zakonu. (połowa XV wieku), dalej rzetelna pomoc okazana Polsce w trzydziestoletniej wojnie, jak stanowczy odpór dany Albrechtowi pruskiemu usiłującemu podstępnie raz jeszcze wydrzeć Gdańsk Polsce, opór wiodący prostą drogą do ukorzenia się butnych Prusaków. A jeśli w latach późniejszych, np. za panowania Stefana Batorego, miał Gdańsk zatargi z Polską, to były to raczej zatargi wewnętrzno-państwowe, bodaj nigdy nie prowadzące do poddania w wątpliwość kwestii przynależności tego miasta do Polski. Jeszcze w r. 1793, w chwili rozbiórów Polski i wkrótce potem w 1814 r. po klęsce Napoleona, Gdańsk uparcie bronił swej niezależności przed zaborem pruskim.

Zapewne to przywiązanie do Polski, po tylekroć manifestowane przez Gdańszczan, w poważnej mierze opierało się na przeświadczeniu, że jedynie związek z Polską gwarantuje normalny rozwój gospodarczy miasta.

Niejedną wielką fortuną gdańską wyrosła z milionów, zarabianych przez Gdańsk na sprzedaży polskiego zboża szczerze płynącego Wisłą ku jej ujściu. I odwrotnie ileż to złotych dukatów zyskali sprytni Gdańszczanie za pośrednictwem przy odbiorze zamorskich towarów przeznaczonych na rynek polski. Gdańsk oderwany od znakomitego zaplecza gospodarczego, jakie stanowiło dlań dorzecze Wisły, ani w części nie osiągnąłby świetności Gdańska — portu Rzeczypospolitej.

Jednak, sądzę, względy nie tylko gospodarczo-handlowe decydowały o przynależności do Polski. Z całą pewnością było tu wiele poczucia moralno-kulturalnej jedności z narodem polskim. Gdańsk czuł się bliżej Polsce niż absolutystycznym, burtalnym Prusom. Dopiero hitlerowska propaganda sprzed drugiej wojny zdołała obrócić Gdańsk w siedlisko wrogiej i ślepej nienawiści do narodu polskiego.

Zacięte walki uliczne, jakie stoczono tutaj wiosną 1945 r. o wyzwolenie Gdańska, zostawiły bolesne ślady. Połowa miasta legła w gruzach, a zwłaszcza dzielnica staromiejska zawierająca najstarsze kościoły i zabytkową architekturę średniowieczną.

Opuszczając dzisiaj gmach dworca głównego w Gdańsku, nie widzimy już tego ogromu zniszczeń wojennych, jaki rozpościł się tutaj wkrótce po wyzwoleniu, w marcu 1945 r. Ale pójdźmy w stronę kościoła mariańskiego, w stronę ratusza miejskiego a ujrzymy straszliwy obraz zniszczeń, nieledwie sięgający ogromu spustoszenia Warszawy czy Wrocławia. Rozległa połać miasta, ogniskująca dotąd jego życie publiczne leży w gruzach. Najpiękniejsze i najstarsze świątynie, starodawne, zabytkowe komienice średniowieczne, bogate zbiory muzealne i biblioteczne spalone. Szcześliwym trafem port gdański ocalał.

Po pięciu latach rządów polskich w wyzwolonym Gdańsku zniszczenia wojenne

nie przerażają już w tym stopniu oczu zwiedzającego, co zaraz po wojnie. Najbardziej pociesającym zjawiskiem jest szybka i troskliwa odbudowa centralnej ulicy dawnego, średniowiecznego Gdańska — tzw. Długiego Targu. Tutaj to wznosi się zabytkowy ratusz, którego smukłą wieżyczką zdobiła statuetka Zygmunta Augusta. Tuż obok sławny Dwór Artusa — rzekomo króla skandynawskiego, przybyłego do Polski po przegranej sporze ze swymi współrodakami. Po obu stronach Długiego Targu — rzeczywiście długiej ulicy o lekko łukowatym kształcie — wznoszą się wysokie kamienice pamiętające czasy średniowiecznej świetności Gdańska. Spalone podczas walk ulicznych już dzisiaj w przeważnej swej części zostały odbudowane i przywrócone do dawnego wyglądu. Za kilka bodaj miesięcy zostaną już całkowicie zakończone prace przy ich restauracji i znajdą tu swoje siedziby centralne instytucje administracyjne miasta. Od strony Mołtawy, jednej z odnog Wisły kilkoma korytami zdużającej ku morzu, zamyka Długi Targ tzw. Zielona Brama wzniesiona tuż przy moście. Od strony przeciwnej — wieńczy go tzw. Złota Brama. Na zewnątrz jej znajduje się Barbakan gdański połączony z dawną wieżą więzienną i katownią miejską. Z drugiej strony Barbakanu wznosi się tzw. Wysoka Brama, ozdobiona sławnymi orłami piastowskimi, które potrafiły doczekać się powrotu prawowitych właścicieli miasta. Wszystkie trzy bramy przeszły przez ogień walk niemal nienaruszone. Kamienice Długiego Targu odbudowuje się według tej samej zasady, co Stare Miasto w Warszawie; fasady zostają dawne, wnętrza zaś dostosowuje się do wymogów nowoczesnej higieny i estetyki. Jedynie wnętrza ratusza i Dworu Artusa mają być odbudowane według danych projektów w swej dawnej, średniowiecznej postaci.

Najstarszy kościół gdański pod wezwaniem św. Katarzyny (ufundowany w 1184 r.) ucierpiał bardzo podczas walk o wyzwolenie miasta. Spłonął niemal cały, pozostały jeno mury. Obecnie dość intensywnie odbudowuje się go według dawnych planów, rugując późniejsze niestylewe upiększenia architektoniczne. Najwspanialszym kościołem Gdańska była olbrzymia gotycka świątynia Najświętszej Maryi Panny, jeden z największych kościołów w Europie. Prace nad jego budową trwały z górą 150 lat, od połowy XIV stulecia począwszy. Przepiękny ten kościół, pociągający oko zarówno ogromnymi swymi wymiarami, jak i cudowną smukłością strzelistych wieżyczek gotyckich, posiadał czterdzieści kilka kaplic, moc zabytkowych nagrobków — dzisiaj w perzynę obróconych. Prace nad restauracją kościoła posuwają się stale, choć trudności piętrzą się poważne. Jak dotąd pokryto kościół dachem i usuwa się gruz z jego wnętrza. Pierwsze nabożeństwo miało się odbyć tu w jednej z odbudowanych kaplic, już we wrześniu, ale nie zdążono na czas jej przygotować i uroczystość odłożono na parę miesięcy. Z innych kościołów wymienię bazylikę św. Mikołaja z XIII wieku, szczyśliwie ocalałą w pożodze wojennej, dalej piękne kościoły św. Jana, św. Józefa, św. Trójcy. Bodaj wszystkie kościoły gdańskie wzniesiono w stylu gotyckim tak cudownie kojarzącym masowość murów ze smukłością wysokich sklepień i strzelistych wieżyc. O każdym tomy pisać by można, niestety ogrom zniszczeń przeraża, kolosal-

ny wysiłek będzie trzeba, aby je do dawnej świetności przywrócić.

Stary dostojny Gdańsk posiadał przed wojną niezliczoną ilość świetnie zachowanych pomników średniowiecznej architektury, tak srodze zburzonych przez wojnę, a które teraz pieczołowicie przywraca się do dawnego stanu. Ale praca to żmudna i wymagająca olbrzymiego wkładu pracy i energii. Straszliwie ucierpiał podczas wojny arcybogate zbiory muzealne i biblioteczne licznych muzeów i bibliotek gdańskich. Obecne zbiory Muzeum stanowią ledwie drobną część tego, co było tu przed wojną. Wymienię tylko stratę bezcennych wprost dokumentów historycznych odnoszących się do dziejów miasta od samych, jak się zdaje, jego początków, oraz pięknego zbioru muzykaliów (nut, śpiewników itp.) polskich od początku XV wieku.

Pocieszającym objawem, świadczącym o żywotności miasta mimo jego strasznego kalectwa wojennego, jest wielki ruch panujący we wszystkich jego zakątkach. Bliskość portu ożywia życie handlowe, dużo żywości obliczu miasta przydaje wielka ilość młodzieży szkolnej i akademickiej z politechniki i akademii lekarskiej.

Gdańsk to nie tylko Dwór Artusa, polskie orły na Wysokiej Bramie czy kościół Najświętszej Maryi Panny. Gdańsk to także, i coraz bardziej: przede wszystkim, wielki port u ujścia Wisły, wielki port węglowy, to centralny ośrodek naszego budownictwa morskiego, to ważne ogniwo w mechanizmie naszej gospodarki narodowej.

Wprawdzie pod względem nowoczesności urządzeń i planowego ich rozmieszczenia ustępuje port gdański portowi w Gdyni, ale niemniej stanowi on potężną bazę dla naszego handlu morskiego i zajmuje pod względem wielkości obrotów jedno z pierwszych miejsc na Bałtyku.

Perspektywy rozwoju Gdańska przedstawiają się bardzo pomyślnie. Zespołony gospodarczo ze wspaniałą arterią komunikacyjną Wisłą, teraz dopiero znajduje on najpełniejsze możliwości rozwoju. Plany rozwoju gospodarczego Gdańska z jednej strony opierają się o założenie największego wykorzystania Wisły jako świetnej drogi transportowej, zwłaszcza dla przewozu towarów krajowych przeznaczonych na eksport jak węgiel czy drzewo, z drugiej o zasadę, już w poważnym stopniu zrealizowaną, połączenie portów gdańskiego i gdyńskiego w jeden system portowy, przy pewnym wyspecjalizowaniu obu członów dla usług osobowych.

Przechadzka, bodaj kilkugodzinna po Gdańsku, chociażby pobieżne zapoznanie się z jego zabytkami, wreszcie bodaj krótkie wglądnienie w plany jego rozwoju w najbliższej już przyszłości — to wszystko daje dużo materiału do rozważań o tym, jakimi to kolejami toczy się historia ludzi i rzeczy. Jak to sprawiedliwość dziejowa, ręka opatrności Bożej, realizuje swe wyroki i przywraca utracone terytoria prawym właścicielom. Bo ziemię odwieczną polską, to nie inne, ale te właśnie jakie obecnie dzierzmy: to dorzecze Wisły i Odry, to, obok ziem mazowieckich, mało i wielkopolskich, Pomorze Gdańskie i Szczecińskie, to Mazury i Ziemia Lubuska, to Śląsk Wrocławski i Opolski. Tutaj byliśmy ongi i tutaj powróciliśmy. **Wł. Turski**

O pewnej królowej

(Dokończenie ze str. 13)

odbywa się za pomocą cienkich listewek drewnianych, mamy do czynienia z tracheją mechaniczną, jeśli połączenie to odbywa się za pomocą rurek w których zamknięte jest powietrze organy są systemu pneumatycznego, jeśli połączenie to stanowią przewody elektryczne mamy do czynienia z organami elektromagnetycznymi. Jak już wspomnieliśmy żaden instrument nie jest w stanie wydać tak niskich ani tak wysokich tonów — takiej kolosalnej rozpiętości tonów, odpowiada też kolosalna rozpiętość w rozmiarach — największa piszczałka w dużych organach ma 11,8 m. długości a 55 cm szerokości — przez taką piszczałkę — komin dorosły człowiek przeleciałby z łatwością. Najmniejsze piszczałki są mniejsze od cienkich olówek. Organy o 50 głosach mają przeciętnie około 4000 piszczałek w związku z czym mają też prawie tyle wentylków i kilka tysięcy metrów rurek powietrznych względnie przewodów elektrycznych, zależnie od systemu. Ilość kombinacji różnych głosów ze sobą jest olbrzymia, n. p. na organach w naszej katedrze w Gorzowie, które mają 42 głosy można uzyskać dokładnie 4398046511103 (okragłe 4 biliony) różnych kombinacji bez powtarzania którejkolwiek. Kto nie wierzy niech sprawdzi. Gdyby chciało się wyczerpać te wszystkie kombinacje codziennie przegrywając 1000 komb. trzeba by grać przez przeciąg okragłe 12 milionów lat.

Przy całym swoim ogromie organy są instrumentem bardzo precyzyjnym i delikatnym — wentylki poruszają się w obrębie 1 — 2 mm, stąd nieraz zmiany atmosferyczne wpływają ujemnie na organy i powodują różne błędy dźwiękowe, każde większe organy muszą być co najmniej co kwartał kontrolowane. Przy okazji trzeba poruszyć sprawę błędnych pseudofachowych poglądów na organy. Są ludzie którzy pytają czy nasze organy to połówka czy ćwierć organów, na co odpowiadam, że ani połowa, ani ćwierć, tylko całe, bo każde na-

wet dwugłosowe organy stanowią całość, muszą mieć głosy tak dobrane, żeby dawały pełne brzmienie.

Jeśli chodzi o wielkość organów, znane są olbrzymie organy o ilości ponad 10.000 piszczałek, n. p. w Hali Ludowej we Wrocławiu są organy o 18.000 piszczałek, w Niebieskiej Sali w Sztokholmie o 12.000 piszczałek. Biorąc to wszystko pod uwagę nie dziwny się, że Kościół wprzął ten potężny instrument do służby na cześć Bożą i w kościele jest ich najwłaściwsze miejsce, jednakże buduje się dziś także organy koncertowe po salach muzycznych, kinach itp., organy które zastępują całą orkiestrę jazzową. Jasną jest rzeczą, że taki instrument wymaga od tego który na nim gra odpowiedniego przygotowania i organizacji muszą wiele lat studiować zanim mogą z powodzeniem grać na tym instrumencie. Mając to na uwadze będziemy więcej cenić organy i ich wkład do służby Bogu, któremu należy się wielka cześć.

Mgr. Adam Tokarz.

Arcybiskup W. Dymek udzielił wszystkim błogosławieństwa Arcypasterskiego.

Nabożeństwem wieczornym i uroczystymi nieszporami zakończyły się w kościełku salezjańskim w Poznaniu przepiękne uroczystości ku czci Błogosławionego Dominika Savio.

Młodzież katolicka wyniosła z tych uroczystości najwięcej korzyści duchowych — za to też Ks. Ks. Salezjanom serdeczna podzięką. (jj)

Kościół i świat

— Handel kobietami. Katolickie misje we francuskim Kamerunie podjęły akcję o likwidację prawdziwej hańby ludzkości, mianowicie formalnego handlu kobietami, jaki się ciągle jeszcze w tym kraju utrzymuje. Z artykułu s. Andrzeja ze zgrupowania „Siostr Białych”, zamieszczonego w Etudes (Paryż) dowiadujemy się wstrząsających szczegółów. Oto ojciec rodziny (najczęściej poligamicznej) chcąc poślubić nową „żonę”, płacił jej ojcu do 1939 r. sumę 500 marek niemieckich. Po zakończeniu wojny w roku 1945 sumą poszła w górę, bo mężczyźni wrócili z wojny z pieniędzmi. Dziś waha się około sto tysięcy franków. „Szczęśliwi” ojcowie urządzają handel i córki sprzedają najwięcej dającemu. Pewien zofer — pisze siostra — dał za dziewczynę 100 tys. franków, auto i 3 krowy. Kobieta stała się w tym kraju — rzeczą: „sprzedaje się ją i dziedziczy” jak żywy inwentarz Misje katolickie, nie mogąc się w tej sprawie dogadać z administracją francuską, biją na alarm w prasie. Istotnie jest o co. Te urągające moralności i ludzkości obyczaje winne być co prędzej wyteplone.

— Pierwsza eskimowska zakonnica. W lutym 1950 r. pierwsza Eskimowska złożyła śluby zakonne u siostr „Szyrych” reguły św. Klary w Chesterfield Inlet w Kanadzie. Będzie to pierwsza zakonnica eskimowska.

— Stulecie diecezji New York. W r. 1850 powstała diecezja Nowego Jorku. W związku z tym prasa donosi: W Stanach Zjednoczonych istnieje obecnie 23 prowincje kościelne (metropolie) i 102 diecezje. Na kier Stanów Zjednoczonych składa się 4 kardynałów, 21 arcybiskupów, 157 biskupów i 42.970 księży; kościołów i kaplic 21.507, liczba katolików w dniu 1 stycznia 1950 r. wynosiła 27.766. 141 na 150.697.301 ludności w państwie, gdy w roku 1850 katolików było ponad jeden milion, na siedemnaście milionów ludności całego państwa. Na czele archidiecezji nowojorskiej stoi arcybiskup kard. Spellman. Do pracy w diecezji ma 6 biskupów sufraganów i 8.093 księży (świeckich i zakonnych).

— Nowy biskup w diecezji katowickiej. Ojciec św. Pius XII zamianował ze względu na podeszły wiek i na wciąż jeszcze trwające skutki ciężkiej choroby J. E. Ks. bisk. Adamskiego dotychczasowego ordynariusza diecezji katowickiej, drugiego biskupa sufragana i koadiutora Ks. Dr. Herberta Bednorza.

J. E. Ks. Bp. Dr. Herbert Bednorz urodził się 22. 9. 1908 r. w Gliwicach, jako syn ślusarza, Józefa i małżonki Anny z Rudów. Do szkoły powszechnej uczęszczał w Gliwicach. Tam też rozpoczął naukę gimnazjalną. Po ukończeniu 3 klasy uchodził wraz z rodzicami do Katowic, gdzie w maju 1927 r. zdaje egzamin dojrzałości. Święcenia kapłańskie otrzymał z rąk J. E. Ks. Biskupa Adamskiego dotychczasowego ordynariusza katedrze św. Piotra i Pawła w Katowicach.

W lipcu tego roku obejmuje stanowisko wikarego w kościele św. Barbary w Chorzowie. W rok później wyjeżdża na studia socjologiczne do Louvain w Belgii, a w październiku 1934 r. udaje się na dalsze studia do Instytutu Katolickiego w Paryżu. Równocześnie z odbyciem studiów pracuje w duszpasterstwie wśród uchodźców we Francji. W 1936 zyskuje w Instytucie Katolickim w Paryżu doktorat z nauk społecznych, zaś w roku 1937 zdaje maxima cum laude egzamin doktorski z prawa kanonicznego.

Po powrocie do kraju, mianowany zostaje 1937 diecezjalnym sekretarzem K. S. M. M. W 1939 obejmuje stanowisko subdyktu w parafii w Brzezinach Śl. W roku 1946 zostaje kierownikiem Referatu Duszpasterskiego Diecezji Katowickiej. Na tym stanowisku pozostaje do mianowania go Biskupem. Równocześnie od roku 1948 wykłada teologię pasterską na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

— Kaplica pod wezwaniem św. Marii Goretti. W Nettuno pięknym nadmorskim miasteczku, miejscu pierwszej Komunii św. i śmierci Marii Goretti, kardynał Pizzardo poświęcił kamień węgielny pod budowę kaplicy, w której złożona będzie urna ze szczątkami bohaterskiego dziecka, św. Marii Goretti. Kaplica otoczona jest pięknym portykiem, obejmującym plac o przestrzeni 300 metrów kwadratowych. Po kanonizacji zwłoki św. Goretti przywieziono uroczystie z Rzymu do kościoła parafialnego w Nettuno pod wezwaniem Matki Boskiej Łaskawej.

Z życia katolickiego

— w Wielkopolsce

— Uczenie Błogosławionego Dominika Savio. Błogosławiony Dominik Savio — wychowanek salezjański ur. 2 kwietnia 1842 r., zmarł 9 marca 1856 r., beatyfikowany 5 marca 1950 r.

Starożytny — po wojnie z wielką pieczołowitością odnowiony kościółek salezjański p. w. Najświętszej Maryji Panny — Wspom. Wiernych w Poznaniu, na uroczystości ku czci Błogosławionego Dominika Savio przybrał godną — odświętną szatę. Przez cały miesiąc wrzesień — w każdą sobotę odbywały się uroczyste nabożeństwa. Księża Salezjanie głosili podniosłe nauki, poświęcone życiu błogosławionego zaledwie 15-letniego młodzieńca.

Od 29 września — codziennie w wypełnionej po brzegi świątyni ofiarowana była nowenna, a od 5-go października do niedzieli triduum dla młodzieży. W niedzielę 8 października po odprawionej spowiedzi św. wszystkich młodzież przystąpiła gromadnie do komunii św.

Na zakończenie tych podniosłych uroczystości ku czci Błogosławionego Dominika Savio głośnie uroczyste nabożeństwo u Ks. Ks. Salezjanów celebrował Arcypasterz poznański, a piękne kazanie wygłosił Ks. J. Siośarczyk ze Zgromadzenia Salezjanów. Po uroczystościach kościelnych J. E. Ks.

Wydawca: Ordynariat Gorzowski. Redaktor: X. Kazimierz Łabiński.

Adres Redakcji i Administracji: Gorzów Wielkopolski, ul. Drzymały 36.

Telefon 739 — P. K. O. V-854/113. Godziny przyjęć od 12-tej do 13-tej.

Rękopisów niezamówionych nie zwraca się. Prenum. miesięczna 2,80 zł, kwartałna 8,40 zł.

Ogłoszenia w cenie 3,60 zł za m. wysokości w jednej szpalcie.

Tłoczono w Wlkp. Zakładach Graficznych — Zakład w Kościanie — 13 — 4. 1. 51.

K-2 — 14018 — 16. 1. 51. Druk ukończono 18. 1. 51.